

WISZENIE PO POWIESZENIU

Leszek Bugajski

Śmierć to śmierć. Jedyna pewna rzecz z tych, które nas czekają. Każdy to sobie uświadamia w którymś momencie życia i przez resztę jego trwania rozmyśla o niej na poziomie swoich możliwości, boi się jej i oswaja się z jej nieuchronnością. Śmierć może być normalna, czyli nastąpi na skutek starczego wyczerpania się biologicznej siły organizmu, nagła i niespodziewana, samobójcza, gdy wyczerpuje się wola życia, honorowa – w pojedynku, heroiczna, gdy nad wartość, jaką jest życie, przedkładane są w euforycznym porywie ducha inne wartości, ale też heroiczna z przypadku, która dopada żołnierza na polu walki, takiego, który nie chce umierać, a tylko sumiennie wypełnia obowiązki narzucone mu przez rozkaz. I jest też śmierć jako kara, efekt wyroku wydanego w majestacie prawa albo po prostu zadana przez silniejszego, wroga, który bez refleksji i wazenia racji uzurpuje sobie prawo do wydawania wyroku tylko dlatego, że uznaje, iż ma prawo do tego.

O takiej właśnie śmierci traktuje przede wszystkim książka – księga – Zbigniewa Mikolejki *We władzy wisielca*. O śmierci, która jest ostatecznym wyrokiem wydawanym przez człowieka na drugim człowieku. Ale też o takiej specyficznej formie tego wyroku, który nie ogranicza kary tylko do zniszczenia ludzkiego życia. To wyrok mocniejszy, bo jest w nim pohańbienie tego życia, które zostało przerwane w jego konsekwencji. Taka jest śmierć wisielcza. Ma ona zniszczyć tego, kto uznawany jest za winnego czy wroga, ale także odstraszyć innych nawet przed myślą o tym, by pójść w ślady powieszonoego. Temu służy publiczne wykonywanie tego wyroku, a jeszcze bardziej pozostawienie ciała wisielca na szubienicy, by wystawione na widok publicz-

Zbigniew Mikolejko: *We władzy wisielca. Z dziejów wyobraźni Zachodu*, tom 1. Wydawnictwo słowo/obraz terytoria, Gdańsk 2012, s. 494.

ny wypełniało rolę „edukacyjną” i prewencyjną tak długo, jak to jest możliwe. Tak było i dopiero w czasach nowożytnych, w tych krajach, w których wyrok śmierci jest wykonywany w majestacie prawa, zmieniło się to. Czyli wiesz się dyskretnie i z poszanowaniem ciała skazańca. Choć nie zawsze i nie wszędzie.

Skoro zaś przez setki lat ciało wiszące na szubienicy i sama szubienica były stałymi elementami tego, co dzisiaj nazywa się przestrzenią publiczną, nic dziwnego, że stały się one obiektami refleksji, tematem sztuki i utkwily w zbiorowej wyobraźni. Jak i z jakim skutkiem, analizuje właśnie Mikołajko w swojej książce. Kłopot z nią mamy jednak taki, że nie otrzymaliśmy jeszcze całości. Książka zaplanowana była bowiem jako dwutomowa, lecz z powodu trudności przeżywanych przez wydawnictwo, zasłużone i wyspecjalizowane w publikacji utworów niekomercyjnych oraz eleganckich, ukazał się na razie tylko tom pierwszy. Trudno więc sobie wyobrazić, ku jakiej puencie zmierza autor i jakimi wnioskami zamknie ostatecznie swoje wywody.

Na razie mamy oszałamiający erudycyjny popis, bo Mikołajko dokładnie „przezeszał” dorobek kultury Zachodu, odkrywając mnóstwo przykładów, z których wynika przede wszystkim to, że nawet sobie nie zdajemy sprawy z tego, jak bardzo figura wisielca jest obecna w naszej kulturze i jak głęboko oddziałała ona na nią. Czy bowiem oglądając na przykład *Lekcję anatomii doktora Tulpa* Rembrandta, zdajemy sobie sprawę z tego, że znajdujące się w centrum obrazu ciało jest ciałem wisielca? Czy patrząc na obrazy Boscha lub Breughla Starszego, szukamy wzrokiem szubienicy, stałego elementu ówczesnego krajobrazu wiejskiego i miejskiego? Oczywiście nie. Jeśli nie jesteśmy specjalistami ani jakoś szczególnie nie interesujemy się wisielczą tematyką. Mikołajko prowadzi więc nas, czytelników, przez całą tę wisielczą dżunglę i opowiada, jaki sens ma to, co widzimy lub widzieć powinniśmy.

Zaczyna oczywiście od greckiej mitologii i od Biblii, założycielskich ksiąg kultury naszego kręgu cywilizacyjnego. Najpierw analizuje przypadek Marsjasza, który lekkomyślnie wyzwał na muzyczny pojedynek Apolla i ów pojedynek przegrał, a tym samym stał się ofiarą boga. Apollo powiesił go i żywcem obdarł ze skóry (w innej wersji zlecił tylko tę robotę i był usatysfakcjonowanym widzem). I już w pierwszej z analizowanych przez Mikołajkę opowieści mamy to, co jest jednym z głównych szlaków jego rozważań: satyr nie dość, że został zabity, to jeszcze w sposób upokarzający, taki by śmierć była niejako przedłużona, nie kończyła się w momencie faktycznej śmierci ciała, lecz nabyła sensu symbolicznego.

Kolejna z takich „symbolicznych” wisielczych śmierci to przypadek Judasza, „wykreowanego gdzieś między rokiem 70 a IV stuleciem na najczarniejszą figurę chrześcijaństwa – pisze Mikołajko – na swego rodzaju «antychrysta» oraz zaprzeczenie wszelkiej godności i prawości człowieczej, stanie się paradygmatem każdej śmierci hańbiącej, jej rdzeniem. I mocniej jeszcze: bramą, która wiedzie i ku tautologicznej pułapce (przeklęty, więc się powiesił; powiesił się, więc przeklęty), i ku jeszcze większej zgrozie, ku jeszcze straszniejszej męce. Ku zepchnięciu Judasza w piekło zbrodniczej jednoznaczności...”. Ewangeliści przyłożyli się mocno do opisu śmierci Judasza, bo chcieli (musieli?) stworzyć przeciwwagę dla wzniosłej śmierci Jezusa, który też przecież zmarł śmiercią wisielczą. Widać, że już wtedy zdawali sobie ludzie sprawę z tego, jak wielka jest mitotwórcza siła takiego umierania. Śmierć na krzyżu uwzniośla i właściwie nie jest traktowana jako wisielcza i nikt dzisiaj nie pomyśli o niej jako o hańbiącej,

o śmierci na sznurze – od czasu Nowego Testamentu – po prostu musi, nie ma wyjścia. I nie może mieć wątpliwości, że „wiszący jest przeklęty”! No, niby wiadomo to już było wcześniej, ale opowieść o Judaszu została tak skonstruowana, by raz na zawsze zlikwidować możliwość jakichkolwiek wątpliwości. I tak się stało. Mikołajko ma rację, gdy twierdzi, że „w Piśmie [...] wisielec jest najczęściej obrazem absolutnej przeklętej obcości, mrocznej, podstępnej i wrogiej, i zasługującej z tego tytułu na hańbę. To zatem innoplemieniec, nieobrzezaniec [...] albo zaprzaniec, spiskowiec, zdrajca”.

Śmierć zadawana przez powieszenie stała się popularnym rodzajem zabijania, zabijania pogardliwego, bez użycia „honorowego” narzędzia, takiego jak miecz czy pistolet. Wystarczyła gałąź i sznur. I ten stosunek do niej usadowił się na stałe także w sztuce. By to udowodnić, Mikołajko analizuje całą serię głównie siedemnastowiecznych obrazów, których tematem są widowiska nazywane lekcjami anatomii. Niby miały one cele naukowe, niby – odbywane publicznie – miały cele edukacyjne, ale w istocie były popisami arogancji, pogardy i braku szacunku dla ciał, które były ich obiektami, ciał pozyskiwanych na szubienicach. Przez kilka dekad te lekcje były popularnym tematem malarskim i na wszystkich obrazach widać tłum eleganckich chirurgów celebrujących swoją uczość wokół ludzkiego ciała, poranionego i właściwie zbezczeszczonego, na które nawet nie raczą patrzeć, bo zwykle ich wzrok skierowany jest w stronę widza, jak na upozowanej fotografii grupowej. To w gruncie rzeczy przedstawienie aktu „całkowitej desakralizacji” zwłok, przekształcania ich w przedmiot. Nic dziwnego, że – jak pisze Mikołajko – „lekcje anatomii da się potraktować jako jedną z technik «przedłużenia» egzekucji poza granice śmierci”. I nic dziwnego, że istnieją obrazy przedstawiające lekarza jako demona, co zresztą – niestety – okazało się nie tylko metaforą, ale dramatyczną prawdą, której ucieleśnieniem jest m.in. Mengele.

Takie skojarzenie prowadzi nas ku drugiej wojnie światowej, okupacji i obozom śmierci, w których szubienica była często używanym narzędziem zadawania śmierci. Była tania i prosta w użyciu, hańbiąca i odstraszała. Ale jej praktyczna i symboliczna rola nie jest dwudziestowiecznym odkryciem. Mikołajko pokazuje i opisuje w swojej książce wiele obrazów, analizuje powieści, w których szubienica odgrywa główną rolę, a jeśli nie główną, to przynajmniej istotną. Szubienice stały w centrach miast, stały obok skrzyżowań dróg, bo nawet jeśli akurat nie gniły na nich żadne ciała, to i tak przypominały: władza czuwa i gotowa jest osądzać. W niektórych dziełach, jak choćby w *Rękopisie znalezionym w Saragossie* Jana Potockiego, szubienica jest ośrodkiem świata przedstawionego, w innych – jak na wielu pejzażach – jest drobnym elementem krajobrazu i można założyć, że malujący z natury artysta wcale nie pokazywał ich tam, kierując się szczególnymi intencjami – one tam po prostu były.

Śmierć zadawana na szubienicy była powszechna, była częścią codzienności, więc nic dziwnego, że ta jej stała obecność, wręcz nachalność, z czasem przestała pełnić tak prewencyjną rolę, jak to było zakładane przez budowniczych szubienic, była oswojona, obojętna – widocznie ich wszechobecność przekroczyła jakiś punkt krytyczny. Powstawały więc obrazy pokazujące zabawy pod szubienicami, a jak się okazuje w finale powieści Potockiego, cała intryga z wisielcami też była w niej rodzajem gry. (Szubienice zostały więc na dziesięciolecia ukryte za kulisami zdarzeń i na plan pierwszy, w swojej roli hańbiącej i odstraszającej, wysunęły się w czasach XX-wiecznych wojen). A poza tym wisielec, jako obecny w życiu codziennym nieżywy, nabral właści-

wości magicznych, bo był tu, w świecie ludzi, a jednocześnie jako umarły przeniósł się już do innego świata. Był tu i tam, był rodzajem łącznika pomiędzy tym i tamtym światem. Więc prosty i nieprosty lud wierzył, że części ciała wisielca mają magiczną moc. Ręka wisielca, czyli słynna „ręka chwały”, miała pomagać złodziejom i zarazem chronić przed nimi, specjalną moc miały genitalia wisielca, tuszcz także znajdował zastosowanie.

I tu kończy się pierwsza część tej imponującej księgi. Nadużyciem byłaby – jak myślę – próba wyobrażenia sobie, jak dalej poprowadzi Mikołajko swój wywód. Zastanawianie się nad tym, dlaczego i po co ją napisał – podobnie. Chociaż... Przecież nie tak znów dawno temu Stefan Chwin, też profesor, też poważny humanista, napisał równie monumentalną księgę, tyle że o samobójstwie. Czy to przypadek, że poważni uczeni należący do tego samego pokolenia, ukształtowani przez podobne doświadczenia życiowe i podobne lektury, w tym samym okresie poświęcili mnóstwo czasu studiowaniu tematyki tanatologicznej i pisaniu o niej? Może tak, a może nie. Może jednak jest to znakiem jakiegoś głębokiego lęku przed przyszłością, przenikającego nas wszystkich, tu i teraz. Może powinniśmy się cieszyć z tego, co osiągnęliśmy i co się dzieje z nami wszystkimi, a jednak, przeżywszy sześć dekad, jakoś nie potrafimy. Coś jest z nami nie tak. Francuski uczyony pisze w tym samym kryzysowym czasie dzieło *Orgazm i Zachód. Historia rozkoszy od XVI wieku do dziś* (przywołuję ten przykład, bo akurat ta książka leży przede mną na stole), a polscy – o samobójstwie i wisielcach. Może to nasi mają rację, bo wszystko i tak skończy się śmiercią, ale tamten – jak przypuszczam – lepiej się bawił.

Leszek Bugajski

